

Ideologia maszyny

Maszyna i człowiek. Jednostka i zbiorowość. Partykularizm i ogólny światowy system gospodarczy... Wszystko to stanowi właściwie odmienne postacie jednej i tej samej sprawy. A w fundamentach tej sprawy tkwi kwestia maszyny, a raczej — mechanizacji. Nowych, sztucznych form życia, stwarzanych po to, aby wielokrotnie to, co dotąd było osiągalne. No i — sploty, zezębienia i konflikty, jakie stąd wynikają.

Wiek maszyny jest niedługi: sto pięćdziesiąt lat. Czemże to jest w stosunku do tych lat milionów, które ma za sobą nasza cywilizacja, do tego tysiąca czy więcej wieków, jakie liczy rodzaj „homo sapiens“, a choćby do tych 6-ciu czy 7-miu tysięcy lat, jakie mierzy epoka historyczna? A jednak, ileż zmian i jak głębokich na tej krótkiej przestrzeni ostatniego półtora wieku...

Epoka maszyny, to ten sam okres, który historia określa mianem dziejów „najnowszych“, w odróżnieniu od „nowożytnych“. To tych samych sto pięćdziesiąt lat, jakie liczy problem Nowego Świata — Ameryki i dalekich krajów zamorskich, wciągniętych w organizm współczesnego świata. To te same półtora wieku, jakie ma za sobą kwestia praw obywatelskich jednostki w społeczeństwie, samo zagadnienie społeczeństwa i jego organizacji, problem narodu jako organizmu, a wreszcie także — cały splot zagadnień, stanowiących razem pojęcie t. zw. postępu materialnego, w parze zaś z nim rosnącej proletaryzacji i zbiorowej nędzy. Sto pięćdziesiąt lat — wszystkie pięć pokoleń ludzkich. Ileż na tej przestrzeni ciągłych zmian, jak niepodobne każde „jutro“ do każdego „wczoraj“. Ciągły ruch, ciągła płynność wszystkiego, nieustanne szukanie i ciągłe eksperymenty. Walą się teorie, bankrutują niedawne pewniki, a splątany węzeł gordyjski zaciska się coraz fatalniej. Przeżywamy epokę przejściową, z której dopiero

coś, na spokojniejszych podstawach opartego, ma powstać — tak jak się po kilku dopiero wiekach wędrówek ludów ustaliło oblicze plemienne dzisiejszej Europy. Na razie jednak wszystko jest przejściowe.

I oto jako czarny symbol epoki unosi się nad nią pojęcie — maszyny. Nietylko w tem bezpośrednim, fizycznym znaczeniu. Maszyną jest także cały dzisiejszy system gospodarczy, ustrój społeczny, maszyna jest państwo, maszynizacja sięga w dziedzinę myśli i ducha. Wszystko to ma w sobie istotę maszynową, którą jest: wyszukiwanie nowych źródeł energii w potęgę dotąd nieznanej, ich uruchomienie i kierowanie nimi w myśl planów człowieka. Ujarmianie sił przyrody? Nietylko. Także i ujarmianie człowieka, który w swej masie schodzi do roli — paliwa dla maszyny.

Powszechny wyścig — ale nie nazywajmy go „wyścigiem pracy“, bo jest to raczej wyścig ujarmiania, maszynizowania, wyścig walki o władzę jednych nad drugimi. Nietylko narody i państwa, ale całe rasy i lądy stają do tych zapasów. Obowiązującym staje się w tych warunkach, prawo wielkich liczb, konieczność zbiorowego instynktu samozachowawczego — organizacja. Ale organizacja a maszynizacja, to rzeczy różne, wręcz nawet przeciwne.

W pierwszej sile motoryczną pozostaje człowiek, w drugiej staje się on tylko surowcem energii, rola zaś kierownicza przypada motorowi-maszynie. Powstała z myślą aby służyć człowiekowi, maszyna staje się celem sama w sobie, druzgocąc człowieka. I to jest fatalizm epoki.

Najwięksi potentaci kapitału stają się niewolnikami pracy nad nieustannym mnożeniem pieniędzy — czy dla ich używania? Nie, poprostu w imię ślepej mechaniki. Wynalazki techniczne gonią się wzajem, a każdy czyni coraz zbieżniejszą pracę samego człowieka. A powstała w imię obrony pracy przed kapitałem państwo komunistyczne buduje tak gigantyczną maszynę kapitalizmu państwowego, że niechno przejdzie jeszcze dziesięć „pieciolatek“, a wyrośnie apokaliptyczny potwór. Czemże się stał człowiek i jego praca?

To jest nieubłagany fatalizm maszyny. Robot zabija swego konstruktora.

I rodzi się oto ideologia maszyny. Technokracja. Czysty absurd, a jednak rozwijający się coraz bardziej. Bo maszyna ma to do siebie, że się można zakochać w jej doskonałości, w jej ulepszeniu, w jej wszechpotęgach. Maszyna zresztą daje władzę. Nie wynalazca, ale tym, którzy są niezbędni, aby maszyna funkcjonowała. Którzy dają pieniądze na jej powstanie — stąd ko-

losalne dziś znaczenie anonimowego kapitału, który ją obsługuje — stąd dzisiejsza elita, społeczna czy urzędowa. A cała reszta ludzkości jest tylko surowcem i paliwem. I powstają coraz to nowe trudności — bo muszą powstawać, skoro środek stał się celem i dla człowieka zbyt mało miejsca na ziemi, bo je dla siebie zagarnia przedewszystkiem maszyna.

Ideologowie maszyny zaś mają tę przewagę nad resztą świata, że są przy dźwigniach, puszczających w ruch motory. Mają władzę. I zapatrzeni w maszynę, coraz bardziej tracą z oczu — człowieka.

Tworzą się nowoczesne formy państwa, jako organizacji usprawnionej do stawienia czoła ciężkim warunkom współczesnej walki o byt całych narodów. Powstaje struktura narodu zorganizowanego, aby wydobyc maksimum energii zbiorowej. Przeprowadzają tę koncepcję Niemcy i Włochy — może z wielu błędami, ale w myśli przewodniej tworzenia organizmu żywego, z ducha narodu czerpiącego energię motoryczną. Prądy analogiczne nurtują i w innych narodach. Równocześnie zaś rozpędza się coraz bardziej wielka maszyna państwa sowieckiego, oparta na założeniach wręcz przeciwnych, ale spychająca świadomie cały naród do roli paliwa maszynowego — w dążeniu do zrealizowania eksperymentu: socjalizacji.

A Polska? Czując potrzebę organizacji, a mając pod bokiem wzór maszyny, Polska wybrała — maszynę. Celem obecnych reorganizatorów naszej zbiorowości stał się nie naród, a więc człowiek wielokrotniony, a więc żywy organizm zbiorowy, ale — państwo jako zasada sama w sobie. A zatem: maszyna. Inżynierowie i mechanicy tej maszyny udoskonalają ją coraz bardziej, coraz niżej spychając człowieka, coraz bardziej zaniedbując rozwój samego organizmu narodowego.

W celu? Dla państwa. Cel sam w sobie. Ideologia maszyny...

Przejściowa jest nasza epoka i zaniepokojenie jej są eksperymenty. Ale eksperymenty te walą się jedne po drugich, gdy nie umieją pogodzić problemu maszyny z człowiekiem, państwem z narodem. Zamiat przyspieszać wyjście z tej przejściowości na grunt stały nowego porządku życiowego, marnują siły na żeraniu energii, która powinna rozwijać zbiorowość, a tymczasem ją dusi. W imię — maszyny...

Gordyjski węzeł zaplata się jeszcze bardziej.

Misjonarz Wieżniem lodów i śniegu

Agencja „Fiden“ donosi o niezwykłych przeżyciach misjonarza o. Bazina na dalekiej północy wśród Eskimosów. Misjonarz ten, jeden z najgorliwszych pomocników biskupa Turquetil, wikariusza apostolskiego z Hudson Bay (przezwanego „Biskupem Krajów Podbiegunowych“), został w roku 1930 wyznaczony na placówkę misyjną na wyspie Igloodik, będącej najdalej na północ wysuniętą stacją misyjną na świecie. W lipcu 1933 roku chatka, zamieszkiwana przez misjonarza, spłonęła i o. Bazin musiał szukać schronienia u Eskimosów w wioski, odległej o kilka kilometrów. Z pożaru zdołał uratować jedynie N. Sakrament i katechizm w języku eskimoskim. Po miesiącach misjonarz powrócił do miejsca swego poprzedniego zamieszkiwania i trudnym własnych rąk odbudował na zgłuszach swą chatę, tym razem ze skóry zabitych morsów.

Jak dotychczas misjonarz nie miał sposobności do przesłania jakiegokolwiek wiadomości o swoich przygodach do swego biskupa. Pozostawał wciąż nadal bez brewiarza, bez Ewangelii, bez szat i sprzętów liturgicznych. Jedynym, co posiadał, było uratowane z płomieni tabernakulum i katechizm eskimoski. Toteż o. Bazin żył w ciągłym oczekiwaniu jakichś myśliwych z południa, którymby mógł oddać list do biskupa. Trzeba tuż, że wreszcie, po długich miesiącach do brzegów wyspyki zawiał szkuner. Misjonarz właśnie nie było, wybrał się bowiem na krótką wyprawę w głąb wyspy. Ponieważ Eskimosi nie mogli się w żaden sposób porozumieć z przybyłymi i donieśli o pobycie na wyspie misjonarza, szkuner odpuścił, nie zabrawszy żadnego listu do biskupa.

Całą zimę musiał jeszcze przeżyć dzielny misjonarz, odejściu od świata lodami, które ścieży rzeki, nie-możliwiałe żegluge. Wreszcie na wiosnę zawiał raz do Igloodik misjonarz z Repulse Bay, które-mu o. Bazin oddał list, przysłany przed dziesięcioma miesiącami. List misjonarza miał być przesłany przy okazji przez myśliwych, udających się na południe. Przesłany, który miał przebiec, wynosił 600 mil ang. krainy lodu i śniegu. Biskup Turquetil natychmiast po o-

trzymaniu listu, mimo spóźnionej pory jesiennej, wysłał po misjonarza łódź misyjną „Pius XI“. Niestety, nie było widać jeszcze sądownego pomocu, bowiem łódź musiała waku-tek wczesnych mrozów zawrócić z połowy drogi.

Misjonarz musi jeszcze tę jedną zimę (piątą kolejną) przeżyć w osamotnieniu na lodowatej północy w towarzystwie Eskimosów, nim wreszcie wiosną ruszą kry i stopnieją śniegi.

Echa listu gen. Góreckiego

PARYŻ, 23.12. (PAT.). „La Revue Hebdomadaire“ ogłasza na naczelnym miejscu pełny list gen. Góreckiego do b. kombatanów francuskich. List jest poprzedzony dłuższym wstępem p. Gibaud, w którym autor podkreśla konieczność wyrażenia przez francuską opinię publiczną większego zrozumienia dla polityki polskiej.

Prawie wszystkie pisma publikują obszernie streszczenie listu gen. Góreckiego.

50 oficerów w ministerstwach

Zarządzeniem Ministra Spraw Wojskowych 5 oficerów otrzymało przydział do ministerstw dla odbycia 3 — 6 miesięcznej praktyki. Oficerowie odbędą praktykę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, Skarbu, Komunikacji, Poczty i Telegrafów i M. S. Z.

Ładna historia

Zdawaby się mogło, że Nowy Rok nie przyniesie nic może malarzom od n. kogo, a tembardziej nikomu od malarzy. Tymczasem nie, po trzykroć naprawdę nie. Bo oto malarze przynoszą w Nowym Roku i to już 12 stycznia 1935 roku — wszystko co mają na wspólny stół balowy. Będzie więc pierwszorzędną bryndza malarzka, dla jarosław groch z kapustą rzuconą o ścianę, jak maledź zasiał, tudzież „kapuszciane głowy“ i wogóle, chrząny, dla mięsożerców baranie głowy, gorące nogi, barówki jak koteż całe szuki cięcie i świeże gęsi: Z napojów nie braknie win (bez kar), chociaż kar-nawal (oleju tego z głów) oraz czystej i wyskokowej, po zatem należy decorat aux bechamel Zabawa — pomimo to zapowiada się dobrze w myśl domowej zasady Balów Akademii Sztuk Pęknych „jak sobie pościelesz tak się wyspisz“. „względnie, jeżeli wódka przeszkadza ci w pracy rzuc pracę“, a zatem do zobaczenia na Balu A. S. P. „Ładna historia“, w dniu 12 stycznia 1935 roku.

Podróżuj samolotem

W Niemczech Horoskopy na r. 1935-y

BERLIN, 23.12. (PAT.). — Ogłoszone dziś sprawozdanie berlińskiej izby przemysłu i handlu za r. 1934, podkreśla na wstępie, że rząd narodowo-socjalistyczny trwał przy zasadzie wolnego gospodarstwa. Niemniej jednak pewne jego zarządzenia miały w roku bież. charakter reglamentacji, odpowiadających systemowi gospodarki związanej.

Wspominając o akcji przeciwgo bezrobociu sprawozdanie stawia na pierwszym miejscu przemysł, jako tę dziedzinę, która dzięki zarządzeniom rządu ujawniła wzrost zatrudnienia. Konjunktura polepszyła się najbardziej w tych przemysłach, które korzystały najwięcej z poparcia rządu.

Co do r. 1935 to stawianie horoskopów, według sprawozdania, trudniejsze jest niż dotychczas. O nowym planie dr. Schachta sprawozdanie mówi, jako o „brońi ochronnej“, ograniczającej i

zacieśniającej wolną działalność gospodarczą i mającej pozatem charakter prowizoryczny. W ten sposób gospodarstwo niemieckie znalazło się w stanie wahania, wobec którego przyszyły rok gospodarczy wydawał się może rokiem przejściowym. Bez względu na to, czy rok ten przyniesie Niemcom większą swobodę w handlu ze światem, czy też ograniczenie rynku wewnętrznego, Niemcy liczyć się muszą z przymusem dalekosiężnego zastępowania obcych surowców przez namiastki krajowe.

Wypadek tramwajowy

Na rogu ul. Sonlej i pl. Mirowskiego, wypadła z tramwaju 60-letnia Mindla Lindarmanowa. przy rodzinie (Nowolipie 50). Doznała ona złamania lewego ramienia i poranienia prawej nogi. Nieszczęśliwa opatrzono Po gotowie i przewieziono do szpitala na Czystem.

POKOJE

cieple, czyste, wygodne i ciche z wodą bież. i telefonami
w Warszawie

ulica CHMIELNA Nr. 31
obok Dworca Centralnego
poleca tanio
ZARZĄD
HOTELU ROYAL

Wspomnienie

Było to przed 36 laty. Z całej setki kandydatów do klasy wstępnej zdałem najlepiej, ale zato w ciągu poprzedzających ten egzamin wakacyj nie miałem ani chwili wypoczynku, bo nieobeznany z programem gimnazjalnym nauczyciel przygotował mnie i z łaciny, chociaż ten przedmiot nie był potrzebny nawet dla zdających do klasy pierwszej.

Gdy na liście 54 przyjętych znalazł się i moje nazwisko, ojciec kupił mi mundurkę gimnazjalną, do której należały długie spodnie, no, i czapka ze specjalnym „herbem“. Poprosiłem ojca, by mi pozwolił zaraz włożyć nowe ubranko. W nim właśnie pojechałem na wioś na kilka dni zaszalonego wypoczynku. Dawni moi koledzy z wiejskiej szkółki patrzyli na mnie z zazdrością. Uważałem siebie za bardzo szczególnego chłopca i ani na chwilę nie przypuszczałem, że ta sama szkoła będzie terenem pewnego przeżycia, o którego skutkach z bólem wspominać będę jeszcze po latach kilkudziesięciu.

Wypocznęk przeszedł dziwnie szybko i w pierwszych dniach września znalazłem się w ponurych murach poklasztornych, w których mieściła się jedyna podówczas na całej okolicy gimnazjum. Ale w nowym trybie życia widziałem tylko jego młe strony. Wszystko wydawało mi się tak inne, tak odrębne. Nawet skromna „stancja“, na której mie ojców umieszczał, posiadała dla mnie duże uroku. Zresztą pierwsze dni po bytu w szkole połączone były z ob-

rzędem kupowania książek i innych potrzeb, a przy tej sposobności nie tylko dostałem sporo „pieczętek“ od właściciela księgarni, lecz byłem na wywiezieniu z ojcem, po raz pierwszy w życiu, w prawdziwej cukierni. Wolno mi było samemu wybrać sobie ciastka. Z tego pozwolenia skorzystałem skwapliwie, okazało się jednak później, że ciastka nie były dobre, bo mi zaszkodziły. Wprawdzie ojciec następnego dnia mówił, że zaszkodziła mi nie jakość, lecz ilość zjedzonych ciastek, ale ja sam myślałem inaczej.

Kiedy wreszcie ojciec oddał mnie pod opiekę właścicielowi stancji i odjechał, poczułem się uziemnym dorosłym, a w każdym razie mocno samodzielnym człowiekiem. Ze swobody skorzystałem od razu w ten sposób, że zabłądziłem idąc do szkoły, w młot, chociaż gubernialnej miejscowości. Wogóle rok szkolny zaczął się dla mnie najwidooczniej pod złym znakiem, bo coś w tydzień zachorowałem. Był to koklusz w bardzo ostrym stanie, toteż lekarz szkolny, sumiennie mnie zbadawszy, nie tylko nie pozwolił mi chodzić do szkoły, lecz kazał natychmiast wyjechać na wioś.

Tam ściśle stosowałem się do wskazań lekarza i dużo biegając po świeżem powietrzu, popijając ciepłą wodę ziołową i zagryzając cukrem lodowatym. Lekarz szkolny utrzymywał, że jest to najlepszy sposób wyleczenia się z koklusu. W każdym razie przeżyłem na wsi kilka

tygodni i wróciłem do gimnazjum dopiero pod koniec października. Do miasta odwoził mnie ojciec, który, zegnając się, raz jeszcze przypomniał o obowiązkach względem szkoły i „stancji“ i zamknął, że pieniądze żadnych mi nie daje, gdyż wszelkie przybory szkolne nabywać mogę w sklepie Kłosińskiego, który otrzymał odpowiednie wskazówki co do zakresu kredytów dla mnie.

Choroba moja sprawiła, że wtedy, gdy inni chłopcy otrzymywali już pierwsze cenzury na 1 listopada, ja żadnych stopni nie dostałem. Rok szkolny jakby dopiero się dla mnie zaczynał. Na te święta nie pojechałem do domu, kazano mi bowiem dopędzać w nauce kolegów, wobec których miałem olbrzymie zaległości. W tej sprawie pomógł mi bardzo gorliwość nauczyciela, który miał tak na zapas przygotował. Parę tygodni wystarczyło do zorientowania się co do wymagań nauczycieli i ich sposobów pytania. Po upływie tego czasu zyskałem sobie opinię jednego z najlepszych uczniów w klasie.

Miałem jednak mimo to poważne kłopoty z kaligrafją. Pisałem wprawdzie bardzo starannie i czysto, może nawet ładnie, ale nauczyciel wciąż był ze mnie niezadowolony i oświadczył mi wreszcie, że o ile na następny rok lekcje nie przyniosę właściwego kajetu do kaligrafji dostanę dwójkę. Zaraz po obiedzie pobiegłem do sklepu Kłosińskiego, przejrzałem wszelkie rodzaje trzymających tam na sprzedaż kajetów, ale wszystkie one były podobne do tego, za który nauczyciel kaligrafji zarządził mi dwójkę. Różniły się może tylko grubo-

cią. Nie wiedząc, jak wybrnąć z tego kłopotu, poradziłem się właścicieli stancji i zadanie z kaligrafji przepisałem raz jeszcze z niebywałą nawet u mnie starannością.

Na następnej lekcji nauczyciel kaligrafji bardzo się na mnie rozniewał i w tym gniewie powiedział, że kajety do kaligrafji nabywać należy w sklepie specjalnym. Chciałem dwójkę postawić. Znając wielką surowość ojca, wiedziałem, jak się to skończy.

Nadechodzą święta Bożego Narodzenia. Koledzy, już otrząskani z wrażeniami, które się przeżywa w związku z cenzurą, zachowywali się prawie normalnie. Ale ja cały tydzień przed otrzymaniem dzienników tak byłem przejęty, że nie tylko nie jadłem, ale nawet tyka herbaty nie wziąłem do ust.

Wczesnym rankiem już w sam dzień wigilijny, korzystając z „okazyjnych“ koni, jechałem na święta do domu. Otulony byłem spowodu dużego mrozu, w ojcowskie futro, a nogi trzymałem w worku z siewką, wóznica utrzymywał bowiem, że jest to jedyny sposób, aby taki brząc nie odmroził nóg. Czy z nadmiaru wrażeń, czy też osłabiony niepotrzebnym postem zdręźniętym się podjeżdżałem i ocknąłem dopiero w domu. Matka rozczerała mi policzki, a dlonie kazała trzymać w miednicy z zimną wodą.

Ojca jeszcze nie było. Gdy przyszedł przed wieczorem przywitał się ze mną, zachowując należytą odległość, aby się nie przeziębienie, że wobec ojca jest prawie nicem, i zaprzął o cenzurę. Z lekiem podałem przysłany zawczasu dzienniczek. Oj-

ciec otworzył go w miejscach, przeznaczonych na stopnie kwartału i czytał: sprawowanie — piątka, religia — piątka, rysunki — czwórka, arytmetyka — piątka, polski — piątka, rysunki — trójka, kaligrafja — dwójka.

Była to zapowiedziana już oddawa na przez nauczyciela dwójka. Ojciec, dojrzaawszy ją, spojrzał na mnie z błyskiem gniewu w oczach i powiedział: „Gdybyś miał dwójkę z przedmiotu takiego, jak arytmetyka czy rysunki, można by wzdąć, że to przedmiot dla ciebie trudny, że nie masz do niego zdolności. Ale dwójka z kaligrafji dowodzi, że albo jesteś niechluj i piszesz bardzo nieporządnie, albo też nie robisz tego, co nauczyciel każe. Ta dwójka zrobiła mi przykrość. Darowałem ci tego nie mogąc, bo na Wielkanoc mógłbyś przynieść jeszcze gorszą cenzurę. Musisz ponieść karę. Ale nie teraz, bo zaraz wilja. Trzeciego dnia święt o piątę po obiedzie dostaniesz różgę.“

W milczeniu pocałowałem ojca w rękę. Dawało mi to, kanie, więc stanąłem w kątku, a na myśl o owej piątce godzinie oczy zasły mi mgłą. Zapomniałem, że to święta, że stoi choinka, że w nocy będzie pasterka, na którą jeszcze przed godziną obiecywałem sobie pójść z rodzicami i otrzymałem już na to zgodę matki. Zapomniałem o tylu ulubionych potrawach i smakolach, które tradycyjnie nakazywała przyrządzać na święta. Nawet przy stole, choć bałem się ojca, popłakiwałem, a niejedną łzę spłynęła mi po policzkach na talerz, z którego nie prawie nie jadłem, chociaż wiedziałem, że w ten sposób jeszcze bardziej rozczewiam

ojca. Ale nie mogłem jeść.

Czas upłynął dziwnie szybko, toteż miałem wrażenie, jakbyśmy owo trzecie święto nastąpiło po wilji. Pamiętałem, jakie są zwyczaje ojca, sam więc musiałem dobrać odpowiednie różgi, a o piątę podałem je ojcu i bezpośrednio po tej czynności zdjąłem mundurkę szkolną. Ojciec, bez żadnego gniewu, z najuprzejmiejszym spokojem wysypał mi dziesięć różg. Zaszłochnęłam i bardziej jeszcze posmutniałem. Za wymierzoną karę, zgodnie ze zwyczajem, musiałem ojcu podziękować i obiecać poprawę. Matka pokryjono wsunęła mi do rąk jakiś przysmak. Tak byłam stropiona i ślepią w swym upokorzeniu, że zjadłem ten przysmak bezmyślnie. Cały czas pobytu na wsi byłem dziwnie apatyczny, błagałem się w polu czy w lesie bez żadnego celu i myśli. Radość budując we wszystkich dzieciach pojęcia gwiazdki, choinki, zabawy, wzięt u sąsiadów straszy dla mnie dotychczasową treść, owszem, z temi właśnie pojeciami przez długie jeszcze lata kojarzyło się w moim umyśle największe upokorzenie, jakiego doznałem jako dziecko.

Zdaje sobie sprawę z tego, że mój ojciec był człowiekiem wyjątkowo surowym, niemniej jednak mogę stwierdzić, jak olbrzymia przepaść dzielił go od wychowawcy i miłości rodzicielskiej w granicach dwu tylko pokoleń. Widzę też, o ile młodość obca jest szczęśliwemu, chociaż nie zasługującemu na dawnej na przebaczenie czy też tylko pobłażaniu

W. d.